



KAZIMIERZ BRZESKI

POEZJA BUDUARU



BADAŃ I KOLEKTYW
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

<http://rcin.org.pl>
WARSZAWA — ROK 1925.



PANI HELI MALINOWSKIEJ
GARŚĆ TYCH PERFUMOWANYCH
EKSCESÓW,

POŚWIĘCAM.

4259

KOBIECIE, KTÓRA MA ŁADNE DESSOUS,

WSZYSTKO MOŻNE WYBACZYĆ

BRZESKI.

<http://rcin.org.pl>

Druk. B. Grabowskiego, Warszawa, Moniuszki 6. Tel. 219-61.

Siewierezje.

Dzisiaj dzień taki chory anemiczny i blade,
Taki smutny, jak zima wśród sybirskich złych tajg,
W taki dzień smętny zamki, oraz pstre balustrady
By cudownie rysował tajemniczy Van Dyck;

Pani w modnej ciastkarni pije mocne kakao,
W wonnej sukni balowej szytej z crêpe electric,
Cóżby Pani mi rzekła, gdyby mi się zachciało
Hydroplanem pojechać w kraje brzoskwiń i fig?

Na ponsowych wnet ustach, wykwitnęłaby znana
Ta melodia skrzecząca, która razi tak mnie:
„Pana sprośne piosenki wciąż śpiewają w szantanach
Pan ma duszę pierrota, arlekina blasé!”

Pani nie wie że właśnie arlekinem być trudno,
Le nie każdy w pajaca może odziać się genre,
Pajac duszę ma piękną chociaż śmieszna i nudna
I ciekawe są bardzo clowna życie i tan.

Chociaż sens mych piosenek jest banalny i grząski
Chociaż bije pustota z rymowanych mych słów,
Bym w ekstazie całował Pani złote podwiązki
I upijał się wonią Pani ciała w takt snów;

Pani nic zmysłowego przecież niema w swej twarzy
Obojętna jest Pani i tak zimna jak lód
Lecz ten chłód właśnie wart jest sto barkarol, pejzaży
I muzycznych serenad w zbiorze książyk i nut.

Pani wzrokiem swym może doprowadzić do mrzonek
Różnych **zboczeń** furjackich, szalów, uciech i łgarstw,
Wpajac zapach zmysłowy Pani śnieżnych koronek
To rozrywka jest bogów i najwyższych dziś warstw.

<http://rcin.org.pl>

Polueta 90 wianca

Pani w twarzy bezczelnej, jest coś z djabła, z Demona,
Coś tak dziko, kusząco błyszcząć ócz Pani jaśn
Okrucieństwa ma Pani chyba dużo z Nerona
Być **kopanym** przez Panią to czarowna jest baśń.

Dzisiaj dzień taki chory, anemiczny i blady,
Taki smutny jak zima wśród sybirskich złych tajg,
W taki dzień smętne zamki oraz pstre balustrady
By cudownie rysował tajemniczy Van Dyck.

Ja mam czasami dziwne chwile...

Ja mam czasami dziwne chwile:
Takie żalodne, takie smętne,
Sentymentalne i ponure,
Pesymistyczne, niepojęte;

Jest mi na sercu tak okropnie:
Jak gdybym grobu widział kopiec,
Zapłakałbym ja wtedy rzewnie
Jak ośmioletni, głupi chłopiec.

I w te godziny melancholji
Mam dziwne żądze i pragnienia
Po głowie biednej, skołataniej,
Przechodzą baśnie i marzenia.

Ja chciałbym jeszcze, być sztubakiem,
Wagary robić gdzieś w alejach,
Być uczniem siódmej, ósmej klasy
Ośmioklasowej szkoły Reja.

Wkuwać się i gimnastykować
(Wszak to podobno bardzo zdrowo)
I otrzymywać od rodziców
Skromniutką pensję tygodniową.

I chciałbym bardzo dużo czytać
Z zapalem wchodzić w życia szranki
I chciałbym również mieć znajomą
Która by miała imię Hanki.

I żeby miała ciemne oczy
I purpurowe słodkie wargi
I żeby z ust jej koralowych
Nie wyszedł nigdy odgłos skargi.

I żeby była oryginalną
Jak z świetlnych widm Erna Morena
I chciałbym bardzo by mieszkała
Gdzieś w okolicach Boduena.

Być może nawet na Hortensji,
Tu niema nad czem przecież biadać
Ja przecież tak i tak w „szesnastkę“
Musiałbym z „piątki“ się przesiadać.

I mkną marzenia w biednej głowie,
Szybkością strzały niepojęte,
Ja mam czasami dziwne chwile
Takie żalosne, takie smętne.

Buduarowe mrzonki.

U Pani w buduarze ponsowo jest i dziwnie
Spiewają pieśń żalobną ponure abażury,
Ratlerka—suchotnica uśmiecha się naiwnie
I słycać straszne dźwięki żalosnej klawiatury.

U Pani w buduarze rolety są spuszczone
Tragedja się ukrywa w figurkach z porcelany,
Arlekin z popeliny ma usta wykrzywione
Wpatruje się w kremowe ramiona pięknej Djany.

Skropione Chyprem ręce wciąż gładzą szerść ratlerki
Pierś zwolna się unosi pod bluzką z crêpe georgett'u
Cień usiadł bez pytania na chińskie etażerki,
Wciąż słycać cichy kaszel i miękki szelest dżetu.

Ja dzisiaj chcę przekroczyć ten straszny pokój Pani
Lecz nie znam dobrze drogi, jak dostać się, którądy?
Gdy przyjdę to na tacy Ty podasz mi banany
I w platynowych kubkach rozlejesz Chery Brandy;

Ty z chłodną arogancją powoli się rozbierzesz,
Opadną z Twego ciała muśliny i gipiury,
Sonatę Czajkowskiego ktoś zagra na parterze,
I świętobliwie zaczną całować Twe ażury.

Pijany szczęściem, szalem pomysłę że to złuda
Zapomnę na godzinę życiową swoją rolę
W zboczonym transie zaczną gryźć białe Twoje uda
I dziko się upiję Twych zmysłów alkoholem.

Idę!..

D. Feigenbergowi.

Wśród wrzasku, świstu lokomotyw,
Wśród dźwięku elektrycznych drgnięć,
Idę śpiewając stary motyw
Piosenki pełnej, świeżych drzeń.

A chód wskazówką jest walorów
Dodatnich i ujemnych stron,
Encyklopedją różnych wzorów,
Jaki mieć trzeba w chodzie ton

I w dal posuwam się z powagą,
Wciąż posuwając parę nóg,
Nademną Beatrycze z błagą
I galwaniczny silny drut.

I zapatrzony w sieć perspektyw,
Różnoplamiennych dróg i kłamstw,
Widzę najnowsze dziś objekty
Dotychczasowych w sztuce chamstw.

A posuwając się genialnie,
Wśród leśno-polnych cichych sal
Odkrywam rzecz fenomenalnie,
Że IDEĘ w niezmierzoną dal.

Nelly.

MOTTO: Takie jak pani się bierze
W pędzącym sleepingu
Na poduszkach pluszowych
Rozebraną i mdłą...

B. JASIEŃSKI.

Nelly.

Imię anielskiej lady,
A jednak warszawianka
Słodkie, upojne oczy gazeli,
Czasami wzrok lwa wychodzącego na żer.
Gibka. Fertyczna. Zgrabna.
Subtelna smuga Quelquez Fleurs
Wytworna rasa.
Demoniczne spojrzenie:
Przesiąknięte narkotykiem
Słowem—klasa.

<http://rcin.org.pl>

Zasypana złotemi lokami głowa
Wielki pachnący śmietnik.
Palce wąskie, aksamitne, barchanowe,
Wytworne manicure,
Ekstazerka w pełnym znaczeniu tego słowa.
Głos przypominający dźwięk włoskich lir.
Lekka gazowa suknia powiewna,
Sięgająca zaledwie do kolan,
Przez ażurowe, cieńkie pończochy
Widzimy boskie łydki,
Jakby dłuta rosyjskiego rzeźbiarza Repina
Zaczarowana królowna
Tchnąca zapachem kwiecistych polan,
Posiadający moc i czar wina.
Z pod pachnącej sukienki:
Zwoje wonnych koronek i falbanek
Przyprawiające do utraty zmysłów
Namiętnych wielbicieli deshabil'u
Niema nic w sobie z niewinnej panienki
Ze zwykłej, przeciętnej warszawianki.
Naodwrot.
Chociaż jest w stylu,
Chociaż jest renesansowo—panieńsko—figlarna
Jednakże sprośna, cyniczna,
Nawet w swoim rodzaju wulgarna.
Wcielenie zmysłowości
Doprowadzająca do szału, do grzechu,
Wielka kuchnia namiętności.
Z czarownym spojrzeniem gazeli
Bogini nadziemskich uśmiechów—
Nelly.

Preludjum.

P. Lenie Kachelównie.

W ogrodzie kwitną astry białe
A w sercu jesień smutna, cicha,
Pędzą wciąż wichry rozszalałe
W mem sercu jest jak w celi mnicha.

Na duszy biało, cicho, śnieżnie
Jakby spadł na nią śnieg przezroczy,
W zaświata patrzą się lubieżnie
W miękkiej oprawie czarne oczy.

Dwa punkty czarne, okrążone,
Rozmodlonemi błękitami
Czasami bosko są natchnione
I obdarzone świetlikami.

W mej duszy jest, jak w celi mnicha
I serce bije, tak ospale,
Choć jesień jest na dworzu cicha
W ogrodzie kwitną astry białe.

Wyjechałaś!

Wyjechałaś, o moja kochana!
Zostawiłaś mnie tutaj samego,
Ogarnęła mnie pustka nieznana
Ogarnęła mnie pustka biednego.

Zostawiłaś do wierszy tematy.
Melancholją upiłaś mą duszę,
Inny czar mają dla mnie dziś kwiaty
Z stoicyzmem wciąż znoszę katusze.

Na ulicach jest ciepło, wesoło,
Spacerują w alejach panienki,
Słychać śmiech tylko szczery wokoło.
Widać tylko gazowe sukienki.

Niema jednak Cię między pannami,
Które tłumnie zwiedzają aleje,
Pociąg zabrał Cię z memi myślami
Zamykając w mem sercu wierzeje.

Wyjechałaś, O moja kochana!
Zostawiłaś mnie tutaj samego,
Ogarnęła mnie pustka nieznana,
Ogarnęła mnie pustka biednego.

Przyjedź!

Przyjedź, wreszcie już przyjedź,
Dosyć elegji i snów
Muszę Cię ujrzeć koniecznie
Muszę zobaczyć Cię znów!

<http://rcin.org.pl>

Okłamywałem wciąż siebie
Żeś obojętną jest mi,
Lecz jednak coś odmiennego
Mówi tęsknota i lzy.

Kocham, ach kocham, szaleję,
Jak młody sztubak, jak fryc,
Wstydę się siebie poprostu
Rumieńce biją mi z lic.

Ach nie chcę poznać uczucia
Które szaleństwem się zwie,
Nie chcę ja popaść w Twe sidła,
Lecz tylko ujrzeć Cię chcę!

Przyjedź, nareszcie już przyjedź,
Dosyć elegji i snów,
Muszę Cię ujrzeć koniecznie,
Muszę zobaczyć Cię znów!

Introdukcja.

Panna Lili dziś smutna, narcyzowa i blada
Eleksirem pachnąca, przezroczysta jak szkło,
Na matowe, lustrzane szyby deszcz ciągle pada
W Pani oczach się błyszczy z dawnych dni Curaçao,]

Niewypite kielichy, fioletowe ekscesy,
W haftowane sonety się splatają par force,
Na tureckich kozetkach siedzą czarne metressy,
W Waschingtonie ociera kelner krwawy swój gors.

W jube—culottach tancerki tańczą tango w Wersalu
W cytrynowej Abazzi rosną figi i bzy
Do gondoli błękitnej wsiada lady w woalu
W Port-Saidzie kapłani na dywanach śnią sny.

Tylko ty taka serena narcyzowa i blada
O nieznanym ekstazach marzy sukni twej dżet
Z chorobliwą miernością ironicznie deszcz pada
W egzotycznych flakonach kona creme de violette.

J e s i e ń .

Lecą, lecą z kasztanami liście,
Powiędłe, obłąkane.

JULJAN TUWIM.

1.

Rozpluskany, sentymentalny dzień,
Dzień zapadłych prowincjonalnych miasteczek,
Nieokrzesa, brzemienna nuda
Rozrzuciła swój cień,
Swoją całą okropność
Mokro. Ślisko.
Jesienna markotność
Mdłe i melancholijne latarnie
Stoją jeszcze niezapalone,
Dzień ku schyłkowi.
Ulice płaczące, stęsknione
Przyjmują wieczór, kochanka swego
O pooranej twarzy.
Na rogu prostytutka.
Zziebnięta. Zmoczona. Tragiczna.
Twarz zamysłona. Marzy.
Dorożka dwukonna przeleciała z pluskiem,
Mijając się z ręcznym, obszarpanym wózkiem.
Słychać piskliwy śmiech kobiety
Z dorożki wyglądają dwie pary lakierek,
Pewno na zabawę.

2.

Otuliła się pani gronostajowym szalem,
Nieubłagany spleen bije z Twoich oczów,
Oprawiony w seledynową tekturę Balmont
Spadł na ziemię
Biały, śnieżny szpic patrzy się z żalem.
Ma mądre, czarne oczy.
Dziwnym wzrokiem patrzy się każdy ką,
Jest pani strasznie.
Otula się pani głębiej
Za oknami deszcz płacze
Po Tuwimowsku okropnie
Kwaśnie.
Mdło. Przeróżająco.
W przyległym pokoju siostra pani
Gra Wertyńskiego
Miętko. Ukajająco.

Ciszę przerywa pokojówka:
„Pannę Renę do telefonu!”
Chwila namysłu
„Niema mnie w domu!”
Wychodzi. Kroki coraz cichsze
W przyległym pokoju:
„Ach gdzie — że wy moj maleńkij kreolczyk”
Jesień okrutna, płacząca, blada,
Rozpacзлиwa.
A deszcz pada, *pada, pada
A a a a...

W coupé.

P. Konradowi Tomowi.

Przyjeżdżając błyskawicznie monotonne pola, lasy
Patrząc z nudą się okropną na poranną, gnuśną mgłę
W eleganckich białych getrach gdzieś w przedziale pierwszej
Z rezygnacją i apatią mknąłem wparty w głąb coupé. (klasy,

Vis a vis o kilka kroków jakaś panna złotowłosa
Tchnąca cała l'origanem i z twarzyczką dość blasę
Z nonszalancją i sarkazmem ćmiła dziwnie papierosa
Odchodzącym polom nucąc lakoniczne swe adieu!

W głośnym świcie i turkocie mknącej wprzód lokomotywy
Przerzucałem moje moje myśli w nieskończoną cichą dal,
Przelatując zaorane melancholji pełne niwy
Wnet poczułem w głębi duszy jakąś dziwną gorycz, żal.

Pociąg leciał błyskawicznie, nienormalnie, szybkim pędem
Złotowłosa piękna dama wpadła w dość głęboki sen,
Obijane pluszem ławki mknęły raźnie, szybko rzędem
W oczach migał mej sąsiadki miękki crêpe de marocain.

Intermezzo.

Raz widziałem Cię jeden otuloną w sobole,
Na koncercie Skrzjabina w pewny dzień w Filharmonji
Przerażliwie krzycząco mknęły głośne bemole,
Gdy ujrzałem w Twych oczach, coś z potężnej symfonji.

Jakiś nonsens płaczący wyczytałem w spojrzeniu
Uwertura Skriabina mi wydała się błagą
Gdy poznałem w Twym słodkim lecz dość silnem wejrzeniu
Bohaterkę romansu gdzieś z Fiume lub Chicago.

Jakaś damę wytworną o ogromnych pleurese'ach,
W szumnym miękkim chifonie z jakichś cichych powieści
I z jednego wejrzenia uroiła się teza:
Że me serce dość zimne w swej historii Cię zmieści.

Tylko raz Cię widziałem otuloną swym szalem
Słuchającą Skriabina w pewny dzień w Filharmonji,
Gdy zniknął w dorożce osłonięta woalem,
Jak znikają melodje granej nocą symfonji.

Odtąd stałem się smutny jak prowincja wieczorem,
Jakby jesień rosyjska, jakby góry śród ciszy,
Marząc wciąż, że się zjawisz zabrać serce me chore,
Niewidoczna i tajna, hen wtulona gdzieś w niszy.

Oczekiwanie.

Tobie.

Kiedy ponura ciężka tęsknota
Skloni mą biedną głowę do snu,
Przyjdź ekstazerko w szarych swych botach
Przyjdź ma królowo w śnieżnem dessous;

Rozsnuj wykwinną i duszną wenę
Rozsnuj wytworny swój smak i styl,
Będziemy razem mieli migrenę
Będziemy pili Crème de vanile,

Cicho śpiewają liście akacji,
Usta ponsowe mi podasz wnet
Śmieją się lampy pełne wibracji,
Pachnie perfuma Coeur de Jeanette.

Wiatr szarolicy hula po prerji
Gra swe andante cicho i młdo,
Ponury murzyn w złotej liberji
Czeka na Twoje srebrne manteau,

Przyjdź ma księżniczko pełna ekstazy,
Będziem haftować chwile en deux,
Pełne georgiń wykwinne wazy
Czekają cicho na usta Twe.

<http://rcin.org.pl>

Blade lampiony drgają nerwowo,
Na ścianie tańczy igrek i iks,
Przyjdź ma princesso z talją kremową
Mam mocny Cocktail i Chery Flipse!

Kiedy ponura ciężka tęsknota
Skłoni mą biedną głowę do snu,
Przyjdź ekstazerko w szarych swych botach
Przyjdź ma królowo w śnieżnym dessous!

Blanka.

Wiem że się uśmiechniesz, tak jak ty potrafisz
Ty komedjantko wstrętna! Tworze Epikura,
Szermierko sztucznej kinematografji
Wystawo mimik z ciężką duszą tura!

Znowu zwycięstwo na całej Twej linji,
Rzuciłaś znowu do nóg swych Erosa,
Masz zapach ciała ciemnej georgini
I z dzikim czarem palisz papierosa!

Dlaczego imię Tobie dali Blanka?
To przypomina mi ciemne spelunki,
Masz lica straszne, bledsze od poranka
I śmiercią pachną Twoje pocałunki.

Czy ciebie kocham, zapytasz zuchwale
Któż to się kocha w trującej morfinie?
Nienawidzę Cię! Hetero! Szale!
Mistrzyni intryg w ciemnym crêpe de chinie!

Za zimną jesteś przypominasz lochy
Depczesz uczucia najpiękniejsze snopy,
Jednak przez cienkie jedwabne pończochy
Muskałbym dziko Twoje **święte stopy!**

Przesyt.

Zmęczony i przeżyty szaleństwem białych nocy,
Buduarowych zwycięstw już mając całkiem dość,
Już nie mam dalszej siły, już nie mam dalszej mocy,
Odchodzę z tego świata jak źle przyjęty gość;

Walczyłem ciągle z życiem rycersko jak indjanin,
Dążyłem wciąż do sławy zdobyłem prędko ją,
I potrafiłem kochać jak Igor Siewieranin
I potrafiłem życie zakrapiać gorzką łzą.

I byłem wielbicielem tajemniczego wina,
Wielbiłem tłumy panien z mych wymarzonych sfer
Tych panien co są mocne, jak silna kokaina
Tych panien co wzbudzają zachwyty wkoło szmer.

Przed śmiercią chciałbym mieszkać w prowincjonalnem mieście,
Na wąskiej gdzieś uliczce co przypomina wieś,
I w smutnych cichych chwilach, cichutki przy niewieście,
Zanuciłbym rosyjską opjumowaną pieśń.

Tę pieśń odurzającą, pachnącą alkoholem,
Mającą czar morfiny i eteryczną moc,
Po klawikordzie przeszły huczące by bemole
I w uszach by dźwięczały w agonji straszną noc.

A umrzeć chciałbym latem na wielkim mym balkonie,
Któryby tonął cały w konwaljach, astrach, bzach,
I chciałbym być złożoną na czole moim dłonie,
Te dłonie wymarzone przez Wertyńskiego w snach.

Ja lubię, gdy się Pani gniewa.

Gdy na ulicach leży błoto
I wiatr w szeregi szyb zawiewa,
W tę noc pochmurną i deszczową
Ja lubię gdy się Pani gniewa...

Prastary zegar bije drugą,
Wskazówką w cyferblacie płąsa,
W utulnym małym foteliku,
Pani się gniewa no i dąsa.

Różowej ampli blask przyćmiony,
Miarowo rzuca słabe cienie,
Jak Pani wtedy jest do twarzy...
Tę dąsę lubię, tak szalenie.

Pani jest wtedy tak komiczna,
Pani ma wtedy w ciemnych lokach
Coś z niewyspanej ekstazerki
Z sprośnych romansów Paul de Cocka.

Gdy na ulicach leży błoto,
I wiatr w szeregi szyb zawiewa
W tę noc pochmurną i deszczową
Ja lubię gdy się Pani gniewa.

Rzecz się działa nad morzem...

(Wolny przekład z Igora Siewieraniwa).

Rzecz się działa nad morzem, gdzie z bałwanów arena
Żądna karet podmiejskich rozrzuciła swą jaśń;
Wewnątrz zamku królowa grała walca Chopina
I słuchając Chopina wnet pokochał ją paż.

Było wszystko tak prosto, było wszystko tak miło,
Poprosiła królowa przerznąć granat bez słów
I oddała połowę, aż mu serce zabiło
I go wnet pokochała w takcie sonat i snów;

Potem się oddawała, jakby w ręce hindusów
Póki blask słońca rzucił elektryczną swą jaśń,
Rzecz się działa nad morzem gdzie bałwany z turkusów,
Gdzie z ażurów są piany, gdzie zakochał się paż.

Twe ręce...

W czerwcową noc wśród szeptu gwiazd
Na jasnym mym balkonie
Złożyłaś Ty na głowie mej
Alabastrowe dłonie...

Prześliczną byłaś wtedy Ty
W błękitnej swej sukience
Upiłem się, całując Twe
Alabastrowe ręce...

<http://rcin.org.pl>

Minęło lato z szczęściem wraz
I przyszła zima w szronie,
W upojnych snach, całuję wciąż
Alabastrowe dłonie...

I minie zima zgaśnie z nią
Me serce w tej udręce
Pamiętać będę jednak Twe
Alabastrowe ręce...

Gdy przyjdzie na mnie jednak czas,
Że umrę w strasznej męce,
Konając chciałbym tylko wciąż
Całować Twoje ręce...

Jesienna pieśń.

W pokoju lila cicho płacze
Pianino stare rozstrojone,
W deszczową noc do drzwi kołacze
Ponure widmo urojone.

Kołacze długo, jednostajnie,
Wzbudzając w sercu dziwne szmery,
Przekrada się do duszy tajnie,
Jak dym z cygara w lotne sfery.

Schwyciła głowę mą migrena,
Jak ranek chwyta jutrznia złota,
Wspominam bajki Andersena
I opowieści Walter Scotta.

Do drzwi w tajemną noc kołacze
Ponure widmo urojone,
W pokoju lila cicho płacze
Pianino stare, rozstrojone.

Refleksje.

Pani zdobią sukienki przecież inne perfumy
A tchnie Pani zapachem elixir fleurs du mal
W uwerturze spojrzenia Pani senne ma dumy
Anemicznie się ciągnie szarych wspomnień mych szal.

<http://fcin.org.pl>

Cytrynowe obłoki jak kosztowne dywany
Na błękitach się marszczą, polyskując jak rdza,
Znów rozcielał przed Panią moich uczuć rydwany.
Pijąc jedno po drugim mdłe Cacao—choix.

Agresywne nastroje Pani snuje i nieci
Ulubionym autorem Twym jest Paweł Verlain,
A powinien być dziki oraz zły Pallazecchi
No bo więcej wszak lubisz rzeczywistość niż sen.

Byłem wczoraj szczęśliwym dusza była ma młoda,
Miałem blisko przy sobie demoniczny Twój wzrok,
Aksamitne Twe ręce całowałem na schodach,
Jakby pijąc z kryształów lepki cordiale-medoc;

Z zgryztem serca czekałem aż zatrzasną się drzwi Twe
Zniknął małpi żakiecik i wykwintne chapeau
Po kręconych poręczach rozpocząłem gonitwę
Ja pijany Twym wzrokiem jak po wazie Clicôt.

W wielkemiejskiej Astorji piłem pstrą soczewnicę
Jadłem melbę mrożoną, lecz myśl była ma tam,
Gdzie snem ekstaz, ekcesów na Chopina ulicy
Spała Pani wykwintna melodyjna jak gam.

Calme d'amour.

W komfortowym kabrioletcie, zaprzężonym w cztery konie,
Mknęła Pani elastycznie przecinając wiorsty szos,
Nie do twarzy Pani było w granatowym tym welonie
I zamierał w walce z wiatrem srebrno-dźwięczny pani głos;

Mały chińczyk w żółtym fraku na gumowym taborecie,
Wiódł niedbale z chorym spleenem ekscentrycznej jazdy ster,
W zaprzężonym w cztery konie komfortowym kabrioletcie
Ekstatycznie się rozsnuwał duszny zapach Twych l'Hiver,

W tylnym pudle kabrioletu siedział z głupią rezygnacją
Mały karzeł z Zanzibaru mając w oczach światło lamp,
Pani z wiatrem się bawiła z przesadzoną elegancją
I wiedziałem że się patrzysz na mnie pour passer le temps,

Byłem błądy i ponury, srebrny monokl błyszczał w oku,
Wciąż nad nami syczał dziwny elektryczny bata świst,

Gdzieś przed chińską herbaciarnią stanął powóz w gnuśnym
I za chwilę z czarną mocną piłą pani Chery triste; [mroku.

Za godzinę przesywając czarnych lasów gęste tonie
Na atlasach swej lektyki znowu parłaś w kraje chmur,
W komfortowym kabrioecie zaprzężonym w cztery konie
Przeczytałem Ci z notesu swe ostatnie calme d'amour.

Do Bronisława Hermelina.

Kiedy godzina melancholji;
Owionie moją biedną głowę
Jak silny wicher Syberyjski
Polany smętne i jałowe;

Kiedy gwar, rwetes kabaretów
Zamieni w rytmy się najszczerze
A wtedy Bronku Hermelinie,
Ja czytam twoje smętne wiersze.

Gdyż jakaś dziwna epistoła
Swym sentymentem ciągle niesie,
Ma w sobie dużo coś z Balmonta
I smutna jest jak ruska jesień.

Czasami nawet niesie Błokiem
I dużo smutku ma z Burluka,
Tak dobrze wtedy mi na sercu
I obca mi rosyjska „skuka“

Kiedy wiatr cichy, szarolicy,
Zamieni w rytmy się najszczerze
A wtedy Bronku Hermelinie,
Ja czytam twoje smętne wiersze.

Pierwszy śnieg.

(Futyryzjada)

Skrócił Swoje prędkie fale—cicho Szmernej Wisły brzeg,
Złodowaciał gród Syreni w miękko płytkich swoich błotach,
Na Szarawo-lepką ziemię spadł z ekspresja pierwszy śnieg,
Ukazały się panienki, zwinno-lekkie w szarych botach;

<http://rcin.org.pl>

Rozśnieżyła się śnieżycą nieobecna cały rok,
Rozjechały się saneczki lekkopylne, silno-żwawe,
Więc zapuszczam w ciche dale mętno-szary, miękki wzrok,
W jasno-barwnym kolorycie krajobrazy widzę łzawe.

Bije zwinnie energicznie: mocno-prędka moja skroń,
Maszerują w szarych płaszczach na postojach swych żołnierze,
Bucha parą dymno-wietrzną dorożkarski stary koń,
Otuliły się panienki w ciepło-białe swe kołnierze.

Uśmiechnęły się zalotnie i jak koczujące plemię,
Rozhahane, rozbawione, wnet puściły nóżki w bieg,
Nad ponurą, mętną, cichą, szaro-lepką śliską ziemią
Zakołysał się w powietrzu śnieżno-biały, śnieżny śnieg.

Do nieznajomej.

Widziałem tylko Panią raz jeden,
Kiedyś jasna, roześmiana,
Przechodziła z koleżanką przez ulicę Niecałą,
Był wtedy mróz,
Śniegu karawana
Jechała powolnie na ziemię ospałą.
Uśmiechnęłaś się do mnie zalotnie,
Tak dziwnie, po andrusowsku,
Miałaś w oczach coś szelmowskiego...
Zauważyłem, jakieś jasne iskry przelotnie
W oczach Twoich ciemnych jak piwnica.
Nosilaś wtedy płaszcz z małych skórek
I boty.
Ślicznie wyglądała Niecała ulica,
Śmiał się wesoło mroźny dzień złoty.
Po ulicach chodziła wielka Sarkoma,
Sanny sunęły ospale
Zdawało mi się
Że nazywasz się Roma,
Dlaczego?
Ja sam nie wiem!
To imię Ci do twarzy,
Nie byłaś specjalnie ładną
Jednak umysł mój, wciąż o Tobie marzy.
Chciałbym Cię koniecznie zobaczyć.
Czekam.
Przeczuwam że się zjawisz!

Do krytyków.

Nestorzy pióra i krytycy,
Zastępie twardy, jednolity,
Zjadliwi, zacni recenzenci
Z „Porannych“ i „Rzeczypospolitych“.

Przed wami rzucam swoje wiersze
Których napewno nikt z was nie zje,
Lecz zwykłym błotem obrzucicie
Perfumowaną mą poezję.

Lecz gwizdzę na was dżentelmeni
Zjadliwych uwag ja nie słyszę,
Co boska Muza mi podszeptnie
To pióro na papierze pisze.

Te strofki dla wykwintnych panien
To empoie i rym paniński,
Mnie radził pisać Siewieranin
I w chorych wierszach swych Jasieński.

Nad żale smutki i tęsknoty,
Nad sentymenty mdłych koszmarów,
Wolę majtesy grande—kokoty,
I ciężkie story buduarów.

Nad niebo, słońce i błękity
I drzewa pełne fig, badyli
Wolę wytworną ekstazerkę
I wonne wdzięki deshabil'u.

Ja nie chcę śladem Konopnickiej
Opiewać smutki mdłych suteryn,
Ja wolę słać damskie dessous,
I czary sukien i peleryn.

Niech rym mój prężny, elastyczny,
Poezję polską dziś ozłoci
Ja wpływy czerpię z Baczewskiego
I pierwszym mistrzem moim Cotty.

Likiery, wina i perfumy
I tajemnicze pstre kotary
Ażury, kremy, pudry, szminki,
Błękitno blade buduary.

Pachnące panie ekscentryczne
Osnute w tiule i muśliny
Perfumowane midinetki
Z gibkością prężnej trampoliny.

Mydelka, puszki i kołderki
I w portugalskich szklach banany,
Kakao ciemne, irysowe
I główki z saskiej porcelany.

Tam ma poezja dzisiaj żyje
To ma poezja tylko ceni.
Uwaga zacni grafomani,
Z pism w czarnych frakach dżentelmeni.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

